

Kazimierz Laski¹

Kilka wspomnień

Dom przy Al. Wolności (dawniej ul. Kościuszki) 11 ze swymi dwoma podwórkami wydawał się dziecku bardzo duży, zaś stróż Józef, uzbrojony w wielką miotłę, bardzo groźny. Jego władza uwidoczniła się m.in. w tym, że po zamknięciu bramy jego interwencja była konieczna, by dom opuścić lub do domu wrócić. Rzecz oczywista taka interwencja, połączona czasami z budzeniem Józefa, wymagała odpowiedniej rekompensaty pieniężnej. Wobec dużej siły nabywczej złotego i niskich dochodów taka rekompensata nie wykrczała, o ile sobie dobrze przypominam, poza 10-20 groszy.

Niedawno pokazywałem swoim dzieciom i wnukom ten dom. Byłem zaskoczony – nie mówiąc już o mojej rodzinie – jak mała jest w istocie rzeczy owa kamienica i jak bardzo zapuszczona. Takie figle płata nam nasza pamięć, kiedy po dziesiątkach lat wracamy do miejsc znanych z przeszłości i odnajdujemy niezupełnie to, czego szukaliśmy.

Moja matka była przedsiębiorczą szwaczką. Zorganizowała i prowadziła wytwórnię koszul męskich, zatrudniała około ośmiu szwaczek i produkowała mniej więcej 60 koszul dziennie. Warsztat znajdował się w dużej izbie na pierwszym piętrze, my zaś mieszkaliśmy na drugim piętrze. Dochody firmy nie były wysokie, pozwalały jednak na spokojną egzystencję, nawet w czasie Wielkiego Kryzysu lat 1929-1933. Warto jednak uświadomić sobie, co w owych czasach oznaczał taki względny dobrobyt, zwłaszcza w zakresie warunków mieszkaniowych. Nasze pierwsze mieszkanie składało się z pokoju i kuchni, bez klozetu; drugie – zajmowane gdzieś od połowy lat trzydziestych – składało się z dwóch pokoi i kuchni, i miało klozet. Rodzina składała się z rodziców i dwóch synów; ponadto mieszkała z nami gosposia, gdyż mama była bardzo zajęta firmą. Łazienki nie mieliśmy i nikt z naszych znajomych podówczas łazienki nie miał. Kiedy opowiadam moim dzieciom i wnukom, że wychowałem się właściwie w mieszkaniu bez klozetu i że w Polsce niemal każdej zimy zdarzają się mroźne dni z temperaturami minus dwadzieścia stopni lub jeszcze niższymi, spoglądają na mnie z niedowierzaniem. Czy jest możliwe spuszczenie spodni – lub podnoszenie spódnic – w takich warunkach? Widocznie tak, skoro te wspomnienia są spisywane. Może nawet czasami sprzyja to długowieczności.

Jak już wspominałem, mieliśmy na stałe pomoc domową. Były to dziewczyny wiejskie, które za niewielkie wynagrodzenie zajmowały się domem i mieszkały razem z nami. Prawdopodobnie brały aktywny udział w moim wychowaniu w okresie, kiedy uczyłem się mówić. W inny sposób nie można wyjaśnić faktu, że jako jedyny z mojej całej rodziny mówiłem po polsku bez żadnego akcentu, która to okoliczność w moim przyszłym życiu miała odegrać niepoślednią rolę.

¹ Kazimierz Laski – aktualnie mieszka w Austrii.

Chodziłem do szkoły powszechnej na ul. Katedralnej, obok kościoła. Kierownikiem szkoły był pan Kapuściński. Do tej szkoły chodzili wyłącznie chłopcy Żydzi, nauczycielami byli przeważnie Polacy, były jednak także nauczycielki Żydówki. Nie wydaje mi się, żeby poza narodowością (wyznaniem) uczniów szkoła ta różniła się programem nauczania od innych szkół powszechnych w mieście.

W latach 1934–1939 uczęszczałem do gimnazjum, a następnie liceum im. Romualda Traugutta. Naszym dyrektorem był Dominik Zbierski. W szkole obowiązywał *numerus clausus*, a więc liczba uczniów – Żydów nie miała przekraczać 10%; w rzeczywistości było nas dwóch na ponad czterdziestu uczniów w naszej klasie, a więc tylko 5%. W Polsce przedwojennej nie było rozdziału między państwem i kościołem. W konsekwencji lekcje rozpoczynały się modlitwą „Kiedy ranne wstają zorze...”. W dni świąt narodowych szkoła brała udział w uroczystościach religijnych, czasami na Jasnej Górze; wszystko to stawiało innowierców od początku w kłopotliwej sytuacji. W szkole nie było otwartego antysemityzmu, istniała jednak daleko idąca izolacja. Nie przypominam sobie, bym odwiedzał kiedyś jakiegoś kolegę w domu; wydaje mi się także, że żaden kolega nie był u mnie w domu. Nie byliśmy jednak w szkole dyskryminowani, byliśmy traktowani jak inni uczniowie.

Nasza szkoła dała nam niezłe wykształcenie w zakresie matematyki, łaciny, języków obcych (w moim przypadku był to francuski, większość uczyła się niemieckiego; angielskiego nie uczono), gorzej było w zakresie przedmiotów humanistycznych. Nacisk kładziono na zapamiętywanie faktów, tekstów, wydarzeń; nie rozwijano wyobraźni, krytycznego stosunku do przekazywanej wiedzy, zdolności do samodzielnego myślenia. Braki te były jednak powszechne w owym czasie nie tylko w Polsce i nie jestem pewien czy w dzisiejszych szkołach sytuacja jest dużo lepsza. Nie byłem uczniem wyróżniającym się, byłem jednak dostatecznie samodzielny. Zresztą w domu nikt nie był w stanie mi pomóc. Dwa krańcowe wydarzenia utkwiły w mojej pamięci. Musiałem być jeszcze bardzo małym dzieckiem, kiedy uczyłem się czytać i wtedy słowa „As” i „Ola” nie sprawiały mi już żadnych trudności. Jednak na dalszych stronach elementarza czyhały na mnie słowa wielosylabowe. Byłem przekonany, że nigdy nie uda mi się ich odczytać. Z drugiej strony pamiętam, że w początkowej klasie gimnazjum udało mi kiedyś rozwiązać zadanie z geometrii typu: „Dowiedź, że jakieś twierdzenie jest prawdziwe przy takich a takich założeniach”. Było dla mnie objawieniem, że ja sam mogę czegoś dowieść, że potrafię samodzielnie myśleć i dojść samodzielnie do pewnych wyników. Może była to zapowiedź, że nauka i naukowe myślenie będą w przyszłości moim zawodem i pasją.

Moja przyszła żona, Irena Wolfowicz, była uczennicą żeńskiego gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego. W tej szkole sytuacja mniejszości żydowskiej była inna niż u Traugutta. Nie wiem dokładnie, ile Żydówek było w klasie Ireny, ale było ich znacznie więcej niż u nas. Ponadto, co ważniejsze, podziały narodowościowo-wyznaniowe były znacznie słabsze. Było wiele kontaktów, przyjaźni między uczniami, które wkrótce

miały się okazać niezmiernie ważne. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że Żydzi, którzy mogli korzystać z pewnego oparcia w świecie nie-żydowskim, mieli znacznie większą szansę przeżycia w czasie nadchodzącej katastrofy niż ci, którzy takimi kontaktami nie dysponowali.

Moja rodzina po kądzieli pochodzi z Żarek. Moja ukochana mama, Sara Rifka, autentyczna żydowska „mame”, dla której jej dzieci były całym światem, zwłaszcza zaś Benjaminek, czyli autor tych słów. Mama była najstarszą córką spośród ośmiorga rodzeństwa. Mój dziadek, Hersz, był tokarzem drzewnym. Rzemieślnicy tacy jak on obrabiali drewno i produkowali okrągłe (lub zaokrąglone) elementy mebli, np. nogi do stołów lub łóżek. Dziadek potrafił też toczyć przepiękne figury szachowe. Dziadkowie mieszkali przy ul. Nadrzeczej 2. W kuchni stała obrabiarka dziadka, napędzana nogą przy pomocy długiej deski. W poprzek słoju deski widoczny był głęboki ślad nogi dziadka. Ile lat trzeba naciskać nogą twardą deskę (w poprzek słoju), by wyłobić w niej głęboki ślad po stopie?!

Wybór zawodu w tej rodzinie był niezmiernie prosty. Synowie uczyli się zawodu od ojca, więc wszyscy byli tokarzami drzewnymi. Córki, w tej liczbie moja mama, stawały się szwaczkami. W okresie międzywojennym toczone elementy mebli wyszły z mody. Moi wujkowie produkowali, zatem, drewniane zabawki dla dzieci, zwłaszcza pukawki, z których strzelano przy pomocy korków. Najważniejszym elementem tej zabawki był huk, jaki się rozlegał, kiedy pod ciśnieniem powietrza korek opuszczał drewnianą lufę. Jest rzeczą bardziej niż wątpliwą, by dzieci epoki komputerów i gier komputerowych były zainteresowane tego typu zabawkami.

Moje spotkanie z antysemityzmem nastąpiło w pewnym sensie przed moim urodzeniem. Moja mama opowiadała mi, że w 1919 r. Hallerczycy urządzili pogrom w Częstochowie. Mojej mamie udało się z trzyletnim dzieckiem na ręku, moim starszym bratem Majerem, uciec przed nimi. Gdyby to się nie udało, nie mógłbym się urodzić dwa lata później.

Moi rodzice i szersza rodzina nie miały kontaktów prywatnych ze światem nie-żydowskim. Jako się rzekło, było to niemałe obciążenie w walce o przeżycie w czasie nadchodzącego Holokaustu, jak wskazuje przykład mojej rodziny i rodziny Ireny. Rodzina Irenki przeżyła w całości, z mojej rodziny przeżyłem Holokaust tylko ja, a i to dzięki kontaktom, o których już wspomniałem. Jest to właściwe miejsce, by wymienić nazwisko bohaterskiej częstochowianki Zofii Wiewiorowskiej, z domu Wróblewskiej, która odegrała niepoślednią rolę w uratowaniu w czasie wojny wielu Żydów, jako zastępca kierownika Domu Kobiet na ulicy Leszno w Warszawie. Pani Zofia była ciotką Alinki Sebyły, najbliższej przyjaciółki Irenki, ponadto zaś sama Zofia była koleżanką szkolną Anny, matki Irenki. Pani Zofia została pośmiertnie uznana za Sprawiedliwą Wśród Narodów Świata i miałem zaszczyt uczestniczyć wraz z jej dziećmi Hanną i Wojtkiem w podniosłej, poświęconej jej pamięci uroczystości, w Yad Vashem w Jerozolimie.

Wspomnę jeszcze, że Częstochowa pojawia się na początku mojej kariery uniwersyteckiej w Austrii w sposób nieco anegdotyczny. Mianowicie po mianowaniu mnie profesorem zwyczajnym teorii ekonomii na Uniwersytecie Johanna Keplera w Linzu, zostałem wezwany na początku lat 1970-tych do ministerstwa nauki w Wiedniu celem ustalenia mojej dotychczasowej wysługi lat. Pierwsze pytanie dotyczyło matury. Wyjaśniam, że matury nie mam, gdyż w 1939 r. ukończyłem I klasę liceum im. Romualda Traugutta w Częstochowie i wojna przerwała moją edukację na poziomie szkoły średniej. Urzędnik przyjął ze zrozumieniem moje wyjaśnienie, pyta jednak, dlaczego po zakończeniu bezpośrednich działań wojennych, które trwały przecież nie więcej niż kilka tygodni czy miesięcy, nie kontynuowałem nauki. Próbuję mu wyjaśnić, jaki rodzaj miała okupacja niemiecka w Polsce, ale urzędnik upiera się przy swoim pytaniu, gdyż dopiero od uzyskania matury może on rozpocząć swoje wyliczenia. Kiedy staje się dla mnie jasne, że mój rozmówca nie ma zielonego pojęcia o sytuacji w Polsce w czasie wojny, wyjaśniam mu, że szkolnictwo średnie zostało zlikwidowane nawet dla młodzieży nie-żydowskiej, wobec czego jego pytanie dotyczące mnie nie ma sensu, gdyż, jako Żyd byłem w znacznie gorszej sytuacji niż młodzież nie-żydowska. W tym momencie urzędnik mi przerwał i zapytał, dlaczego mu nie powiedziałem, że jestem Żydem. Na to ja, dlaczego miałem mu to powiedzieć. Odpowiedź brzmi, że byłem zapewne prześladowany w czasie wojny, wobec czego cały okres wojny powinien być zaliczony do wysługi lat. Do wysługi lat zaliczano podówczas także okres studiów oraz oczywiście moją uprzednią pracę w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Lata wojny, lata studiów, lata w SGPiS wszystko razem sprawiło, że rozpocząłem pracę w Austrii z wysługą lat wystarczającą nieomal na pełną emeryturę. W owym czasie profesorowie przechodzili na emeryturę w wieku 70 lat, ja zaś w tym momencie miałem dopiero lat 50. Opowiadam o tym incydencie, gdyż jest on charakterystyczny dla braku jakiegokolwiek zrozumienia, co oznaczała okupacja niemiecka w Polsce, a także, dlatego, że ów brak zrozumienia w moim przypadku okazał się szczęśliwym paradoksem. Nie wiem, czy kiedykolwiek dowiedziałbym się, że okres wojennych prześladowań „rasowych” jest w Austrii niejako z urzędu zaliczany do wysługi lat, przynajmniej dla profesorów uniwersytetu, gdyby mój rozmówca miał lepsze rozeznanie historii najnowszej?

